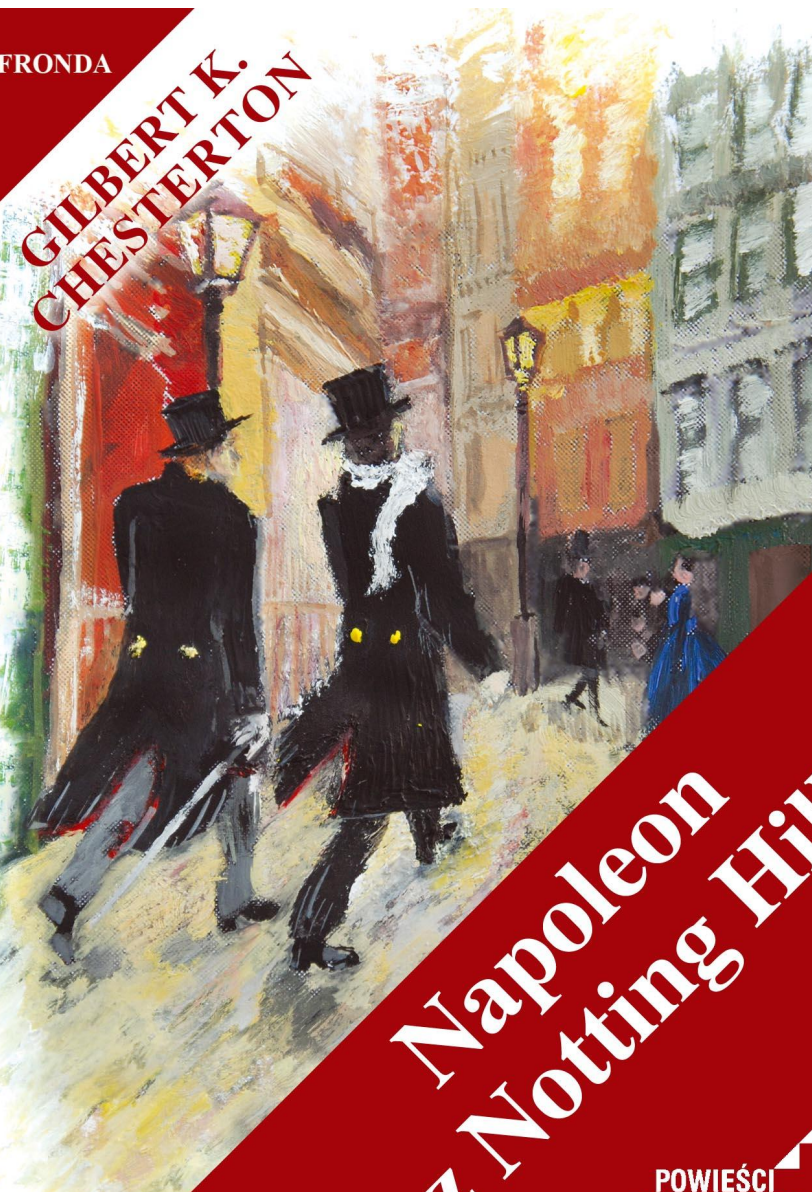


FRONDA



GILBERT K.
CHESTERTON

Napoleon w Notting Hill

POWIEŚĆ

Gilbert Keith Chesterton (1874-1936)

Angielski powieściopisarz, poeta, dramaturg i eseista.

Mistrz groteski, paradoksu i humoru absurdalnego.

Przeciwnik socjalizmu i agnostycyzmu.

Często polemizujący publicznie z G.B. Shawem czy H.G. Wellsem.

Zadebiutował w 1900 roku tomikiem *Błędny rycerz i inne wiersze*.

Ogółem jego twórczość obejmuje 80 książek.

Część z nich weszła na stałe do historii angielskiej i światowej literatury.

Największą sławę przyniosły mu powieści, takie jak m.in.:

Napoleon z Notting Hill, *Człowiek, który był Czwartkiem czy Kula i krzyż*.

Jego wiersz *Lepanto* angielscy żołnierze powtarzali w okopach
podczas I wojny światowej.

W 1922 roku głośnym echem w Europie odbiła się jego konwersja
z anglikanizmu na katolicyzm.

Chesterton jako myśliciel religijny był także autorem książek
apologetycznych (np. *Ortodoksja*) jak i polemicznych (*Heretycy*).

Dał się poznać jako wielki przyjaciel naszego kraju,
wielokrotnie nazywając rozbiór Polski zbrodnią.



W serii
POWIEŚCI Z KRZYŻYKIEM
dotychczas ukazały się:

Gilbert Keith Chesterton
KULA I KRZYŻ

Gilbert Keith Chesterton
CZŁOWIEK, KTÓRY BYŁ CZWARTKIEM

Gilbert Keith Chesterton
PRZYGODY KSIĘDZA BROWNA

Gertrud von Le Fort
PAPIEŻ Z GETTA

Walter M. Miller, jr
KANTYCZKA DLA LEIBOWITZA

Brian Moore
KATOLICY

Gilbert Keith Chesterton
NAPOLEON Z NOTTING HILL



W przygotowaniu:
Gilbert Keith Chesterton
LATAJĄCA GOSPODA

Gilbert Keith Chesterton

Napoleon z Notting Hill

FRONDA

[Kup książkę](#)

Tytuł oryginału
THE NAPOLEON OF NOTTING HILL

Copyright © 2009 by FRONDA PL Sp. z o. o. Warszawa

Tłumaczenie

Janina Łaszczowa

Konsultacja filologiczna

Tomasz Walenciak

Redakcja i korekta

Robert Jankowski

Projekt graficzny serii

Halina i Bartłomiej Kuźniccy

Projekt okładki

Barbara Piotrowska

Opracowanie typograficzne i łamanie

PanDawer, www.pandawer.pl

ISBN 978-83-60335-34-5

Wydawca

FRONDA PL Spółka z o. o.

ul. Jana Olbrachta 94

01-102 Warszawa

tel. (22) 836 54 44, 877 37 35

faks (22) 877 37 34

e-mail: fronda@fronda.pl

www.fronda.pl

Menedżer projektu

Wojciech Salwa

Druk i oprawa

Drukarnia GS, Kraków

HILAREMU BELLOCOWI

*Jest wsi i mieścin niezliczone mrowie,
Którym Bóg gwiazdy na niebie zawiesza,
Śledzą je bacznie dzieci oczka sowie,
Gdy drżą, wplątane w sieć zieloną drzewa.
Ty widzisz księżyc blady, nieruchomy,
Tkwiący w Sussexu wzgórz zamglonej dali,
A ja ten miejski, co Campdena domy
Srebrem malując, jak gwiazda się pali.*

*Tak! niebios głębia jest zawsze nad nami,
Jakby z błękitu wyrzeźbiona czara
(Lecz tu myśl moja lotnymi skrzydłami
Do celu dotrzeć usilnie się stara),
Tak, jak wspaniałe, heroiczne sprawy,
Które do końca świata będą żyły,
Choć wokół pełno nudnej maszyn wrzawy,
A więc się nie trwóż, przyjacielu miły.*

One przy urnie Nelsona nie zgasną,
Gdyż chwała Anglii tam zakłęta leży,
Ni te spod Austerlitz, gdzie śmierć swą własną
Jak wino piły tysiące młodzieży.
A gdy pedantów tłum z tępym uporem
O mechanicznej przyszłości zaskrzeczy,
My pomyślimy samotnym wieczorem:
— Być może, jednak są piękniejsze rzeczy.

Jakże jest pięknie, gdy przez równin dale,
Przez kraj szeroki, cichy i spokojny
Śmierć wraz z Wolnością tańczą w dzikim szale,
A bębny warczą głuchy werbel wojny.
Pięknie, gdy w walkach barykady trzeszczą,
Górą dym bucha, rzeź na dole gości,
A śmierć i zemsta wraz z piekłem obwieszczą,
Że ludzkość ma już nowy cel miłości.

Śniłem, że z dala twe słoneczne wzgórza,
Że ulic pustką wiedzie wprost ma droga.
We śnie ulica wciąż mi się wydłuża,
By w końcu spleść się z gwiazdnym szlakiem Boga
Legenda owej epickiej godziny,
Którą przeżyłem w snach dziecięcych tyłu
Leci pod gwiazdy niebiańskiej wyżyny,
Krążąc wokół wieży na Campden Hillu.

Przełożyła
MARIA DOLEŻAŁ

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ I

WSTĘPNE UWAGI O SZTUCE PRZEPÓWIADANIA PRZYSZŁOŚCI

Rodzaj ludzki, do którego należy tak wielu moich czytelników, od samego swego zarania lubi bawić się w dziecinne gry i niewątpliwie zachowa to upodobanie aż do końca świata, co jest przyczyną wielu kłopotów i niedogodności dla tych nielicznych, którzy są naprawdę zupełnie dorośli. A jedną z ulubionych rozrywek ludzkości jest zabawa w „chowanie jutra w cieniu”, zwana również, jak mi wiadomo, przez wieśniaków ze Shropshire zabawą w „oszukiwanie proroków”. Grający słuchają uważnie i z wielkim szacunkiem wszystkiego, co mądrzy ludzie mają im do powiedzenia o tym, co się przydarzy w następnym pokoleniu. Potem czekają cierpliwie, aż wszyscy ci mądrzy ludzie poumierają, a wtedy grzebią ich przykładowo. Potem idą sobie i robią zupełnie coś innego, niż tamci przepowydali. I to wszystko. Ale dla ludzi o prostych upodobaniach jest to zabawa bardzo zajmująca.

Bo ludzie, będąc właściwie dziećmi, obarczeni są ich krnąbrnością i skrytością, i nigdy od początku świata nie robili tego, co mędracy uważali za nieuniknione. Powiadają, że kamienowali fałszywych proroków, ale na pewno z większą i słusznieszłą radością kamienowaliby proroków prawdziwych. Poszczególni ludzie mogą zachowywać się mniej lub bardziej rozsądnie: jedzą, śpią, robią jakieś plany. Ale ludzkość jako całość jest zmienna, tajemnicza, płocha i zachwycająca. Ludzie mogą być mężczyznami, ale Człowiek jest kobietą.

Lecz oto na początku dwudziestego stulecia gra w „oszukiwanie proroków” stała się o wiele trudniejsza, niż była

kiedykolwiek przedtem. Rzecz w tym, że pojawiło się tak wielu proroków i tyle proroctw, iż zaczęło być rzeczą bardzo trudną uniknięcie wszystkich ich pomysłów. Ktoś na przykład spełnił jakiś czyn śmiały i oryginalny, nawet szalony, lecz natychmiast ogarniały go straszne wątpliwości: a nuż było to już z góry przepowiedziane? Nawet jeśli jakiś książę wdrapał się na latarnię, albo jakiś dziekan upił się, to i oni nie mogli być prawdziwie szczęśliwi, bo żaden z nich nie miał pewności, czy nie spełnia jakiegoś proroctwa. Na początku dwudziestego stulecia tyłu się namnożyło mądrych ludzi, że nie było gdzie szpilki wetknąć. Byli tak pospolici, że człowiek głupi stał się rzadkim wyjątkiem, toteż gdy takiego wyszukano, tłumy szły za nim na ulicy, chroniono go jak bezcenny skarb i powierzano mu jakieś wysokie stanowisko rządowe. A wszyscy ci mądrzy ludzie trawili życie na sporządzaniu sprawozdań z tego, co się będzie działo w przyszłym pokoleniu i to sprawozdań, które były bardzo przewidujące, bezlitosne a wszystkie zupełnie od siebie odmienne. I zdawało się, że tym razem naprawdę nie uda się zorganizować starej, pocziwej zabawy, polegającej na oszukiwaniu przodków, ponieważ przodkowie zapominali o śnie i jedzeniu, zaniedbywali politykę i sprawy bieżące, aby po całych dniach i nocach medytować nad tym, co ich potomkowie będą przypuszczalnie robić w przyszłości.

A oto, jak się zabrali do rzeczy prorocy dwudziestego stulecia: wybierali sobie takie lub inne zdarzenie, które rzeczywiście miało miejsce w ich czasach, i twierdzili, że to samo będzie się działo później w coraz większym i większym stopniu, aż stanie się coś nadzwyczajnego. A bardzo często dodawali, że to coś nadzwyczajnego zdarzyło się już gdzieś w jakimś dziwnym miejscu i że jest to bardzo znamienne dla swoich czasów.

Do takich proroków należał na przykład H. G. Wells i inni jemu podobni, którzy sądzili, że to nauka zapanuje nad

przyszłością, i tak jak na przykład samochód jest o wiele szybszy od powozu, tak potem zjawi się jakiś wspaniały wehikuł, który będzie jeszcze daleko szybszy od samochodu, i tak dalej, w nieskończoność. Z popiołów ludzi tak myślących powstał dr Quilp, który twierdził, że kiedyś będzie można wysłać człowieka na maszynie krążącej dookoła świata z taką szybkością, iż będzie on w stanie prowadzić długą rozmowę z kimś siedzącym w jakiejś staroświeckiej zapadłej wiosce, a to w ten sposób, że za każdym razem przelatując koło niego, powie jedno słowo z całego zdania. Mówiono nawet, że użyto do tego eksperymentu pewnego starego, apoplektycznego majora, a szybkość, jaką osiągnął była tak wielka, iż mieszkańcy jednej z gwiazd widzieli dokoła Ziemi niby wyraźną obręcz z siwych bokobrodów, czerwonych policzków i brązowego tweedu – coś jakby pierścień Saturna.

Istniała jednak również i szkoła przeciwna. Należał do niej niejaki pan Edward Carpenter, który sądził, że powinniśmy jak najspieszej powrócić do Natury, aby żyć w prostocie i bez pośpiechu, tak jak zwierzęta. Edward Carpenter znalazł następcę w osobie Jamesa Pickie, doktora teologii (z kolegium w Pocahontas), który dowodził, że ludzie udoskonalą się niezwykle, gdy będą paść się albo jeść wolno i nieustannie jak krowy. Twierdził również, że udało mu się osiągnąć wyborne rezultaty, gdy wypuścił poruszających się na czworakach mieszczuchów na łąkę pokrytą cielęcymi kotletami. Następnie Tołstoj i humanitaryści ogłosili, że świat staje się coraz litościwszy i że wkrótce nikt nie zechce zabijać. A pan Mick nie tylko został wegetarianinem, lecz po pewnym czasie potępił nawet wegetarianizm (który, jak się subtelnie wyraził, „przelewa zieloną krew milczących stworzeń”), i przepowiadał, że w przyszłych, lepszych czasach ludzie będą się żywić tylko solą. Wtedy to ukazała się broszurka z Oregonu (gdzie już

tego spróbowano) pod tytułem: „Dlaczego sól ma cierpieć?” I wynikły nowe trudności.

Pojawili się również ludzie przepowiadający, że więzy międzyludzkie będą coraz bardziej ograniczone i sztywne. Na przykład, pan Cecil Rhodes twierdził, że nie ma przyszłości poza Imperium Brytyjskim, i że z biegiem czasu pogłębiać się będzie coraz bardziej przepaść pomiędzy tymi, co należą do tego Imperium a tymi, co do niego nie należą, pomiędzy Chińczykiem z Hongkongu a Chińczykiem z innej części kraju, pomiędzy Hiszpanem z Gibraltaru, a Hiszpanem z Hiszpanii właściwej. Będzie to przepaść równie głęboka jak ta, która oddziela człowieka od stworzeń niższego rzędu. A jego zapalczywy przyjaciel dr Zoppi (apostoł Paweł anglo-saksonizmu) posunął się jeszcze dalej twierdząc, że idąc za tym poglądem za kanibalizm powinno uważać się zjedzenie obywatela Imperium Brytyjskiego, nigdy zaś zjedzenie przedstawiciela podległych mu narodów, których uśmiercać należy, jego zdaniem, unikając zadawania im niepotrzebnego bólu. Zgroza, jaka go ogarniała na myśl, że mógłby zjeść krajowca z Gujany Brytyjskiej, dowodziła, jak dalece nie rozumieli jego powściągliwości ci, którzy go oskarżali o brak serca. Był on jednak w trudnym położeniu, gdyż, jak mówiono, starał się przeprowadzić takie badania, a mieszkając stale w Londynie był zmuszony poprzestać wyłącznie na włoskich kataryniarzach. Lecz koniec jego był straszny, bo właśnie kiedy już rozpoczął swe doświadczenie, sir Paul Swiller odczytał w Królewskim Towarzystwie Naukowym wyniki swych znakomitych badań, na podstawie których doszedł do przekonania, że dzicy nie tylko mają rację zjadając swych nieprzyjaciół, lecz mają po temu powody natury zdrowotnej i moralnej, albowiem jest rzeczą dowiedzioną, iż zalety zjedzonego nieprzyjaciela przechodzą na tego, który go zjadł. I stary, łagodny profesor Zoppi zaczął dręczyć się

myślą, że natura włoskiego kataryniarza zapanuje nieodwołalnie w jego duchowym wnętrzu.

Był też niejaki pan Benjamin Kidd, który pouczał, że dominującą cechą rasy ludzkiej będzie coraz większa troska o przyszłość i coraz dokładniejsza tej przyszłości znajomość. Myśl ta została jeszcze mocniej rozwinięta przez Wiliama Borkera, który napisał znany ustęp, wyuczony na pamięć przez wszystkie dzieci szkolne, o tych ludziach, co kiedyś będą płakać na grobach potomków, i o turystach, którzy każą się oprowadzać po polu jakiejś sławnej bitwy, stoczonej dopiero kiedyś, w przyszłych wiekach.

Sławny pan Stead znów sądził, że w XX wieku Anglia zostanie przyłączona do Ameryki, a jego młody pomocnik Graham Podge dodawał do amerykańskiej unii takie stany jak Niemcy, Francja, czy też stan Rosja, nazywając go w skrócie „Ra”.

Wreszcie pan Sidney Webb zapewniał nas, że przyszłe pokolenia będą świadkami stale rosnącego porządku i czystości w ludzkim życiu. Jego biedny przyjaciel Fipps zwariował na tym punkcie i biegał wszędzie z siekierą w rękę, obcinając zbędne gałęzie z drzew, gdziekolwiek nie układały się one symetrycznie po obu stronach drzewa.

Wszyscy ci mądrzy ludzie przepowiadali więc z wielką pomysłowością, co wkrótce stanie się na świecie i wszyscy brali się do rzeczy w jednakowy sposób, gdyż obierali sobie jeden z popularnych współczesnych prądów, który rozszerzali i przedłużali, jak tylko pozwalała im na to wyobraźnia. Był to według nich sposób najprostszy i jedynie skuteczny, by poznać zawczasu przyszłość. „Tak samo – pisał doktor Pellkins w subtelny swym traktacie – jak widząc w jednym miocie prosię większe niż inne prosięta, wiemy, że na mocy jakiegoś niezmiennego prawa Nieznanej Siły pewnego dnia stanie się ono większe niż słoń; tak samo, jak widząc zielska i żółte mleczce,

zagłuszające ogród, wiemy, że pomimo wszystkich naszych wysiłków przerosną one kiedyś kominy i zasłonią cały dom, tak samo wiemy i przyznajemy z uszanowaniem, że jeżeli jakaś siła wykazała przez pewien czas znaczącą aktywność w sprawach polityki, to siła ta będzie nadal się tak rozwijać, że kiedyś dosięgnie nieba”.

I zdawało się istotnie, że prorocy wprowadzili w niebywałe dotąd zakłopotanie ludzi, zajętych starą grą w „oszukiwanie proroków”. Bo doprawdy, nie można było niczego zrobić, żeby nie spełnić przy tym jakiegoś proroctwa.

A jednak w oczach robotników na ulicy, w oczach wieśniaków w polu i marynarzy na morzu, w oczach dzieci, a zwłaszcza kobiet, był jakiś dziwny wyraz, który sprawiał, że nieraz proroków trapiło zwątpienie i gorączka niepewności. Najwięksi mędrcy nie umieli zgłębić źródła wesołości, jaka kryła się w tych spojrzeniach. Ludzie ci nadal chowali widocznie jakąś tajemnicę w zanadrzu, ludzie ci nie przestali jeszcze bawić się w „oszukiwanie proroków”.

I mędrcy zaczęli szaleć i rzucać się tu i tam krzycząc: „Co to jest? Co to może być? Czym będzie Londyn za sto lat? Czy jest jeszcze coś, o czym nie pomyśleliśmy? Może domy będą budować do góry nogami?... Jeszcze bardziej higienicznie niż teraz?... A może... jak myślicie?... może ludzie będą chodzić na rękach, a w nogach wyrobią sobie giętkość i zręczność rąk? A może księżyc... może samochody?... może bez głów?...” I tak gubili się w domysłach, aż w końcu przychodziła śmierć i grzebano ich przykładnie.

A potem ludzie rozchodzili się i robili, co im się podobało. Nie ukrywajmy dłużej przykrej prawdy. Ludzie oszukali proroków dwudziestego wieku. I dlatego w chwili, gdy zaczyna się ta opowieść, to jest za jakieś osiemdziesiąt lat od dziś, Londyn jest prawie taki sam jak teraz.

CZŁOWIEK W ZIELENI

Niewielu słów potrzeba, aby wyjaśnić, dlaczego Londyn za sto lat będzie prawie tym samym, czym jest dzisiaj, a raczej – ponieważ muszę użyć proroczego czasu przeszłego – dlaczego Londyn w chwili, gdy rozpoczyna się ta opowieść, był prawie tym samym, czym był w owych szczęśliwych czasach, gdy ja jeszcze żyłem.

Powód tego można określić jednym zdaniem: ludzie utracili zupełnie wiarę w rewolucje. Każda rewolucja opiera się na doktrynach, jak na przykład Rewolucja Francuska, lub ta, która wprowadziła chrześcijaństwo. Jest bowiem jasne dla zdrowego rozsądku, że nie można burzyć istniejącego porządku rzeczy, wraz ze wszystkimi nieodłącznymi obyczajami i kompromisami, o ile się nie wierzy w jakąś inną rzecz poza nimi, w coś pozytywnego i świętego. Otóż w owym wieku Anglicy nie wierzyli w nic podobnego. Wierzano natomiast w inną rzecz, którą nazywano ewolucją. I mówiono: „Wszelkie zmiany, podejmowane w imię jakiejś teorii, doprowadzały do rozlewu krwi i kończyły się źle i smutnie. Jeżeli mamy się zmieniać, musimy to robić powoli i bezpiecznie, tak jak to robią zwierzęta. Jedynymi udanymi rewolucjami są te, które dokonują się w Naturze. Nigdy na przykład nie zauważono, aby się ujawniła jakaś reakcja konserwatywna w obronie ogonów”.

To i owo jednak się zmieniło. Poznikały całkiem rzeczy, których nie brano poważnie. Inne rzeczy, które zdarzały się rzadko, przestały zdarzać się zupełnie. I tak na przykład rzeczywista siła fizyczna, która rządziła krajem, to jest wojsko

i policja, zmniejszały się coraz bardziej, aż wreszcie zniknęły prawie zupełnie. Ludzie, zmówiwszy się, mogliby w dziesięć minut zniszczyć tych kilku pozostałych policjantów, a jeżeli tego nie robili, to dlatego, że nie widzieli w tym żadnej korzyści dla siebie. Stracili zupełnie wiarę w rewolucję.

Demokracja przestała istnieć, ponieważ nikt nie przejmował się tym, że klasa rządząca rządzi. Praktycznie rzecz biorąc, Anglia była teraz ustrojem despotycznym, ale nie dziedzicznym. Królem zostawał ktoś z kół rządowych. Nikt nie dbał o to, w jaki sposób to się odbywało, nikt nie dbał o to, kto to był. Król był tylko kimś w rodzaju generalnego sekretarza.

W ten sposób w owym czasie życie w Londynie toczyło się bardzo spokojnie. To trochę nieokreślone i przygnębiające poleganie na tradycyjnym biegu rzeczy, jakie jest nastrojem właściwym Londyńczykom, stało się teraz zaakceptowanym stanem. I rzeczywiście, nie było żadnych powodów, by ktoś nie robił dzisiaj tego, co robił wczoraj.

Nie było też żadnego powodu, aby trzech młodzi ludzie, którzy mieli zwyczaj co rano udawać się razem do swego ministerstwa, nie udali się tam jak zwykle i w ten właśnie zimowy i chmurny poranek. Wszystko w tej epoce stało się automatyczne a zwłaszcza urzędnicy ministerialni: wszyscy regularnie pojawiali się w swych biurach. Trzej z nich zawsze razem chodzili do pracy. Wszyscy w sąsiedztwie znali ich: dwaj byli wysocy a trzeci niski. Tego właśnie ranka niski urzędnik spóźnił się o kilka sekund, aby dołączyć do dwóch przyjaciół, gdy ci przechodzili koło jego furtki. Mógł ich dopędzić w trzech susach, mógł z łatwością na nich zawołać. Jednak nie uczynił tego.

Dla jakiegoś niezrozumiałego powodu, którego nikt nie pozna, dopóki wszystkie dusze nie zostaną wezwane na sąd (jeżeli w ogóle kiedykolwiek będą sądzone, w owym czasie bowiem ideę tę stawiano w jednym rzędzie z fetysyzmem),

najmniejszy urzędnik nie połączył się ze swymi dwoma towarzyszami, lecz wciąż trzymał się w tyle za nimi. Dzień był pośepny, ubrania ich były również pośepne, wszystko było pośepne, a on, powodując się jakimś dziwnym impulsem, szedł ulica za ulicą, dzielnica za dzielnicą nie odrywając oczu od tych dwóch ludzi, którzy odwróciliby się natychmiast, gdyby tylko na nich zawołał. Otóż istnieje pewne prawo, zapisane w najbardziej mrocznej Księdze Życia, a brzmi ono: „Możesz spoglądać na jakąś rzecz dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć razy i nic nie zmąci twego spokoju, lecz gdy spojrzysz na nią po raz tysięczny, grozi ci to straszne niebezpieczeństwo, że zobaczysz ją po raz pierwszy”.

Toteż niski urzędnik ministerialny patrzył na poły płaszczy dwóch wysokich urzędników ministerialnych i skręcał z ulicy w ulicę, wciąż widząc przed sobą tylko poły płaszczy, poły płaszczy i poły płaszczy, gdy nagle – nie wiadomo dlaczego – coś stało się z jego oczyma.

Dwa czarne smoki szły przed nim cofając się tyłem. Dwa czarne smoki przypatrywały mu się złymi oczami. Prawda, że smoki szły tyłem, lecz mimo to nie przestawały patrzeć na niego. W rzeczywistości te dwie pary oczu, patrzących na niego, były guzikami przytwierdzonymi do patki z tyłu płaszcza i może jakieś tradycyjne wspomnienie ich bezużytecznego charakteru nadało ich spojrzeniu tyle obłądnej wyrazistości. Rozcięcie pomiędzy potami było linią nosa potwora, a ile razy wiatr rozwiewał poły płaszczy, potwory oblizywały się. Było to chwilowe złudzenie, lecz niski urzędnik już na zawsze zachował w swej duszy pamięć o nim. Nie mógł już nigdy odtąd spojrzeć na ludzi w krótkich paltach, by nie przyszły mu na myśl te smoki idące tyłem. Jakiś czas później, bardzo taktownie i grzecznie wyjaśnił swoim przyjaciołom, że zachowując dla każdego z nich niewypowiedziany szacunek, nie

może myśleć o ich twarzach inaczej, jak o pewnego rodzaju ogonach. Były to zresztą, przyznawał, ogony bardzo piękne, ogony wzniesione w górę. Ale, dodawał, gdyby jakiś prawdziwy przyjaciel zechciał zobaczyć ich prawdziwe twarze i zajrzeć w zwierciadło duszy, powinien obejść obydwu z szacunkiem i spojrzeć na nich z tyłu. Wtedy zobaczy dwa czarne smoki o ślepych oczach.

Lecz kiedy wówczas dwa czarne smoki po raz pierwszy wyskoczyły jakby z mgły na niskiego urzędnika, wywołały skutek, jaki sprawiają wszystkie cuda – zmieniły cały świat. I wtedy odkrył on to, co tak dobrze znane było wszystkim romantykom, że przygody zdarzają nam się zwykle w dni pochmurne, a nie w słoneczne. Gdy struna jednostajności jest naciągnięta do ostatnich granic, wówczas pęka z dźwiękiem, który brzmi jak śpiew. Do tej chwili nie zwracał uwagi na pogodę, ale zmuszony do tego spojrzeniem czworga martwych oczu, rozejrzał się i zdał sobie sprawę, jak dziwnie martwy jest ten dzień.

Był to ciemny poranek zimowy, ale niezbyt mglisty, omroczony owymi cieniami śnieżnych chmur, które pogrążają świat w jakimś miedzianym lub zielonawym półmroku. W takie dni wydaje się, że owa odrobina światła pochodzi nie tyle z nieba, ile jest raczej jakąś fosforescencją, wydzielaną przez same rzeczy. Ciężar nieba i chmur można porównać do ciężaru wody, a ludzie poruszają się niby ryby na dnie morza. I wszystko, co spotyka się na ulicach Londynu dopełnia ten fantastyczny obraz; nawet powozy i dorożki wyglądają jak głębinowe potwory z pływającymi ślepiami. Mały urzędnik był z początku zdziwiony widokiem dwóch smoków. Teraz spostrzegł, że jest otoczony smokami, które królują na dnie morskim.

Dwaj młodzieńcy idący na przodzie byli dobrze ubrani, tak samo jak niski młodzieniec, idący z tyłu. Linie ich płaszczy

i cylindrów miały w sobie tę nadmierną surowość, która sprawia, że współcześni eleganci, pomimo całej swej brzydoty, są ulubionym tematem dla współczesnych rysowników; miały one w sobie ten element, który doskonale określił pan Max Beerbohm, mówiąc o „harmonizowaniu czarnego sukna z nieskazitelną doskonałością białizny”.

Chód ich był chodem pretensjonalnego ślimaka; odzywali się w rzadkich odstępach czasu, wypowiadając jakieś zdanie mniej więcej co szóstą mijaną latarnię.

Powoli mijali te latarnie, a twarze ich były tak nieruchome, że komuś obdarzonemu odrobiną wyobraźni mogło się wydawać, iż to raczej szeregi latarń mijają ich jak we śnie. Nagle mały człowieczek podbiegł do nich i rzekł:

— Muszę kazać sobie ostrzyć włosy. Czy nie znacie jakiegoś zakładu, gdzieby strzygli włosy jak należy? Ciągłe je strzygę i wciąż mi odrastają.

Jeden z wysokich młodzieńców spojrzał na niego z miną zbolatego naturalisty.

— Ach, przecież właśnie tutaj jest taki mały zakład – wykrzyknął mały człowieczek z niemądrą radością, gdy spostrzegł elegancki salon fryzjerski, którego jasno oświetlona wystawa zabłysła nagle wśród mgły. — Wiecie, w czasie mych przechadzek po Londynie często napotykam zakłady fryzjerskie. Zjem z wami lunch u Cicconanego. Szalenie lubię zakłady fryzjerskie. Są sto razy miłsze niż te wstrętne sklepy rzeźnicze. — I zniknął za drzwiami.

Ten, który się nazywał James, popatrzył za nim przez monokl wetknięty w oko.

— Co, u diabła, myśleć o tym gościu? – zapytał swego towarzysza, bladego młodzieńca z zadartym nosem.

Blady młodzieniec namyślał się sumiennie przez kilka minut i rzekł:

— Myślę, że musiał upaść na głowę, kiedy był małym dzieckiem.

— Nie, nie sędzę, by tak było – odpowiedział czcigodny James Barker. – Mam czasem wrażenie, Lambercie, że jest on kimś w rodzaju artysty.

— Bzdura! – uciął krótko Lambert.

— Wyznaję, że sam nie wiem, jak go określić – mówił Barker z zamyśleniem. – Usta otwiera rzadko, chyba tylko po to, by powiedzieć coś tak nieprawdopodobnie głupiego, że nazywanie go wariatem byłoby jeszcze zbyt słabym określeniem. Ale ma on jeszcze jedną zabawną słabostkę. Czy wiesz, że posiada jedyną w Europie kolekcję japońskich wyrobów z laki? A widziałeś jego książki? Sami poeci greccy, średniowieczni Francuzi i tak dalej. A oglądałeś kiedy jego mieszkanie? Czujesz się tam, jakbyś był we wnętrzu ametystu. A on chodzi pomiędzy tym wszystkim i gada jak głupiec.

— Niech diabli wezmą wszystkie książki. I twoje sprawozdania z przemówień w parlamencie także – rzekł z przyjacielską prostotą prostoduszny Lambert. – Powinieneś przecież znać się na takich rzeczach. Co ty o nim myślisz?

— Zupełnie go nie pojmuję – odparł Barker. – Ale jeżeli pytasz o moje zdanie, to muszę powiedzieć, że jest to człowiek z upodobaniem do nonsensów, dotknięty, jak to mówią, artystycznym błazeństwem i wszelkimi temu podobnymi dolegliwościami. I myślę zupełnie serio, że tym bezustannym gadaniem głupstw naruszył już równowagę swego umysłu i teraz sam nie zna różnicy pomiędzy zdrowym rozsądkiem a obłąkaniem. Można powiedzieć, że odbył podróż naokoło umysłowego świata i znalazł punkt, gdzie Wschód i Zachód tworzą jedno, czyli gdzie krańcowy idiotyzm jest tyleż wart, co rozum. Ale ja nie potrafię wyjaśnić tych psychologicznych igraszek.

— Przynajmniej nie potrafisz ich mi wyjaśnić – rzekł szczerze pan Wilfrid Lambert.

Gdy szli długą ulicą w kierunku swej restauracji, miedziano-rudy mrok począł się rozjaśniać i przechodzić w odcień bladozłoty, a kiedy stanęli u celu, można było ich wyraźnie dostrzec w zupełnie znośnym świetle dnia zimowego. Czcigodny James Barker, jeden z najbardziej wpływowych współpracowników rządu angielskiego (w tym czasie już wyłącznie reprezentacyjnego), był młodzieńcem szczupłym i eleganckim z przystojną pozbawioną wyrazu twarzą i bladoniebieskimi oczyma. Został obdarzony intelektualnymi zdolnościami tego szczególnego rodzaju, które sprawiają, że człowiek nimi obdarzony wspina się z tronu na tron i umiera obsypany zaszczytami, chociaż przez całe życie nie zabawił i nie oświecił ani jednego człowieka. Wilfrid Lambert, młody człowiek, którego nos rozwinął się, jak się zdawało, ze szkodą dla reszty twarzy, również mało przyczynił się do tego, żeby rozszerzyć granice umysłowości ludzkiej, lecz można było powiedzieć na jego usprawiedliwienie, że był głupcem.

O Lambercie można było powiedzieć, że jest głupawy; Barkera przy całej jego inteligencji można było nazwać tępym. Ale i głupawość jednego, i tępota drugiego traciły zupełnie na znaczeniu wobec tych imponujących i tajemniczych skarbów idiotyzmu, nagromadzonych widomie w małym ciele tego, który czekał na nich przed restauracją Cicconaniego. Mały ów człowieczek, który nazywał się Oberon Quin, swym wyglądem przypominał zarówno małe dziecko jak i sowę. Zdawało się, że jego okrągłą głowę i okrągłe oczy Natura zakreśliła cyrklem w przystępie dobrego humoru. Z czarnymi gładko przyczesanymi włosami, w groteskowo długim palcie robił wrażenie przebranego dziecka. Kiedy wchodził do pokoju, gdzie byli obcy ludzie, brano go za małego chłopca, a nawet czasem

chciano sadzać na kolanach, ale tylko dopóki się nie odezwał, bo wówczas spostrzegano, że mały chłopiec byłby znacznie mądrzejszy.

— Czekałem na was bardzo długo – zauważył Quin łagodnie. – To strasznie zabawne, że w końcu zobaczyłem was nadchodzących ulicą.

— Dlaczego? – spytał Lambert zaskoczony. – Czyż sam nie naznaczyłeś nam tutaj spotkania?

— Moja matka nieraz naznaczała ludziom spotkania w rozmaitych miejscach – odrzekł na to mędrzec.

Mieli już, zrezygnowawszy ze zrozumienia go, wejść do restauracji, gdy coś na ulicy zwróciło ich uwagę. Choć było zimno, choć pogoda wciąż posępna, w tej chwili jednak rozjaśniło się nagle i na ponurym brunatnym tle drewnianego bruku, pomiędzy dwoma szeregami smutnych i ponurych szarych domów zobaczono coś, czego w promieniu wielu mil – a może i w całej ówczesnej Anglii – niepodobna było zobaczyć, mianowicie mężczyznę, ubranego w jaskrawe kolory. Podążało za nim małe zbiegowisko.

Był to człowiek wysoki i postawny, ubrany w mundur wojskowy jaskrawozielonego koloru, bogato zdobiony srebrem. Z ramienia zwieszał mu się krótki, zielony płaszczyk, bramowany futrem, podobny do tych, jakie noszą huzarzy. Podszewka, która ukazywała się od czasu do czasu, była ciemnoszkarłatnego koloru. Na jego piersiach lśniły liczne medale, dokoła szyi nosił czerwoną wstążkę i gwiazdę jakiegoś zagranicznego orderu. Szpada długa i prosta, o rękojeści mocno błyszczącej, ciągnęła się i podskakiwała, szczękając po bruku. W tych czasach rozwoju pacyfizmu i utylitaryzmu wszelkie tego rodzaju akcesoria zostały przekazane do muzeów. Jedyna formacja mundurowa, jaka jeszcze pozostawała, to jest nieliczna, lecz dobrze zorganizowana policja, ubrana była w sposób ponury